№ 11. 16. Marca 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Pierwsze odrodzenie się Polski.

Szkic historyczny K. Szajnochy. — Lwów 1849.

Jak każda siła i wszelki organizm przezwyciężywszy przeciwieństwa i przełamawszy przeszkody rozprzęga się w końcu i przedzierzga; podobnie też dzieje się i z potęgami działającemi w historji człowieczeństwa. Każda myśl dająca popęd umysłom, każda moc występująca do walki przeciw zaporom pochodu dziejowego — po zwycięztwie rozmaga się i wybuja w ostateczność przywodząc w rezultacie swym do tychże samych lub analogicznych pojawów, jakie właśnie działaniem swém przezwyciężyła i zagładziła. Nie jest-to bowiem przypadkowym wyrokiem empiryzmu, lecz koniecznością logiczną, że: *„ostateczności się schodzą.“*

Przyrodzone to oddziaływanie okazało się też i w pierwotnej historji polskiej.

Wzniosła się Polska i zajaśniała znaczeniem i potęgą nad całą północ, tylko przez przyjęcie i rozkrzewienie chrześcjaństwa, tylko przez wygórowanie jedynowładztwa w rządach narodu, i idące za tém ześrodkowanie wszystkich sił jego przedtém niespojnych, a często w wrogich zapasach wzajemnie się niszczących. A jednak chrześcjaństwo, przywiodło za sobą przewagę duchowieństwa chciwego rządów, i z natury rzeczy dla władzy świeckiej nigdy bezwarunkowo nie powolnego; a jednak przemożenie niezwykłego dotąd w narodzie jedynowładztwa nieograniczonego, które pod Chrobrym uratowało naród, i zachowało go od losu Obotrytów — niebawem wyrodziło się w dowolność i uroszczenie pomijające wszelką autonomję narodową, uważające ciało ojczyzny, za rodzinny dobytek, który zapisami i grabieżami dzielić i rozszarpywać nawet wolno.

Te same więc żywioły, które spowodowały i przysporzyły wzrost Polski, w rozbujaniu swém i przekwicie swoim przywiodły ją do tegoż samego, a nawet do gorszego stanu, niż z jakiego ją pierwotnie podźwignęły.

To przesilenie się, to rozprężenie żywiołów narodowych, ten „zamęt powszechny“ kreśli autor szkicu jako wstęp do dzieła swego w prologu. I zaiste smutny nam przedstawia obraz: Wielka i potężna Polska Bolesławów rozszarpana na „przeszło dwanaście oderwanych jednostek politycznych;“ najdzielniejszy niegdyś sprzymierzeniec organizującej władzy królewskiej — duchowieństwo dziś na czele opozycji i do rokoszu pochopne; po miastach, niesforna a żywiołowi narodowemu śmiertelnie wroga niemieczczyzna — oto żywioły, składające całość wewnętrzną. Do tego zewnątrz nieprzyjaciele mnodzy; Czesi i Niemcy, Jaćwież i Litwa, i najsroższe z nich wszystkich Mogoły i ich posłuszne i posłużne satelity kniazie ruscy.

Z tych klęsk i niedoli materjalnych, z tego zamętu i pogrążenia moralnego wydźwignąć i podnieść naród mogła tylko wkorzeniona w nim i niczém nie wytępiona miłość swobody i niepodległości; ona tylko nie dała upaść zupełnie męstwu i nadziei narodu, ona natchnęła bohatyrskich trzech braci Piastów do walki przeciw nieprzyjaciołom wewnętrznym i zewnętrznym, i przy powziętym zamiarze utrzymywała ich pomimo klęsk i zawodów. Nie możemy odmówić sobie zacytowania tu słów samegoż autora, chociaż przy innej sposobności wyrzeczonych: (ks. 2. str. 91.) „I tylko taż miłość swobody, która, jako stary niemiecki, za czasów Mieczysława I. żyjący kronikarz o naszych przodkach prawi: *„przenosiła ciągłą wojnę nad sromy

spokój, ważąc sobie wszelką nędzę za nic, dla swojej ukochanej wolności" — tylko ta duma swobody nie dozwalała za czasów pierwszego pojawienia się plagi mongolskiej, uniknąć jej grasowania; gdyż było w mocy narodu uśmierzyć sobie Mongołów. Należało tylko jak Ruś, jak kniazie pobliskiego Halicza i Przemyśla, udać się z czołobitnością do namiotu wielkiego chana, napić się mléka kobylego, pokłonić się bożyszczom pogańskim, i zamiast ofiarą swoich tylokrotnie niszczonych grodów, swojej w jasyr uprowadzanej ludności, zasłaniać Europę od hord tatarskich — plądrować z niemi jak kniazie ruscy, ziemie zachodu. Lecz królowie polscy pobratali się z Europą swojém królewskiém dostojeństwem, nie jak „*król*" Daniło jedynie w myśli, aby za pośrednictwem papieża mieć pomoc od zachodu, lecz aby mu dawać pomoc, aby mu kosztem własnego pokoju, własnej rządności, być przedmurzem od barbarzyństwa, na teraz i na poźniej.

Rozpoczyna się więc walka o odrodzenie Polski, do której po jednej stronie Piastowie na czele rycerstwa narodowego, po drugiej swojscy i obcy nieprzyjaciele występują. Zmienne koleje i ostateczna wynikłość tych zapasów, stanowią treść historycznego szkicu.

„I owo rzucając okiem na kolejność tych, w tak sprzeczny sposób przeplatających się ustępów, postrzegamy całość oczekującego nas dramatu, boju o Polskę, złożoną z następnych pięciu oddziałów:

„Pierwszy Leszka Czarnego, przedstawia niezupełnie jeszcze pomyślny początek narodowego dźwigania się z upadku.

„Drugi Henryka Probusa — chwilowe reakcyjne zwycięztwo żywiołów nieprzyjacielskich pod zniemczałym, cesarstwu hołdownym Piastem.

„Trzeci Przemysława — tém potężniejsze podźwignienie się narodu w około wywieszonego mu przez Przemysława ..... sztandaru politycznej jedności i potęgi.

„Czwarty Wacława czeskiego — ostateczne wysilenie się wrogiej, antinarodowej, cudzoziemskiej przemocy pod wcale obcym monarchą.

„Piąty Władysława Łokietka — stanowcze narodowej sprawy zwycięztwo. (Dokończenie nastąpi.)

Pobitna pod Rzeszowem.

(Ciąg dalszy.)

— Któż to, któż to? ozwały się głosy.

— Panie Bartłomieju Murski i Panie Marcinie Miszczański, prosimy bliżej! zawołał pan Rudnicki.

— Murski rzeźnik z Rzeszowa! Murski jak się masz, jak się masz Bartłomieju! witano obu mieszczan, nieśmiało z głębokiemi ukłonami w koło wstępujących. —

— A cóż, pojedziecie do księcia Lubomirskiego? zapytał pan Rudnicki?

— A czemużby nie. Wszak ja go znam z osoby JO księcia i mowiłem z nim, odrzekł Bartłomiej.

— Tem ci lepiej. — Drogę do Dębowca znasz?

— Znam, bom nieraz i nie dziesięć jeździł. —

— A więc dobrze. — Napiszemy list i jak najprędzej wrócicie z odpowiedzią.

— My by też mieli pokorną prożbę do Jaśnie wielmożnych Panów, rzekł kłaniając się wkoło Bartłomiej.

— Cóż takiego?

— My by też także chcieli należeć do konfederatów, ale niech to Jaśnie wielmożnych panów nieuraża, do pana Puławskiego, bo my już tyle o nim słyszeli.

— Otoż to mi ludzie! tylko im zagadać o konfederacji, zaraz przystają! A cóż żona powie i gospodarstwo?

— Ja jeszcze nie mam żony, odrzekł zarumieniony Bartłomiej, a gospodarka Jaśnie Pana daleko większa od mojej ubogiej.

— Brawo! niech żyją tacy mieszczanie! huknęła szlachta.

— Niech żyją! zawołał pan Rudnicki. Hej służba! wina.

Jak gdyby z ziemi wyrosło wino w brzuchatych gasiorach i potężne puhary.

Niech żyje przewielebny ksiądz biskup Krasiński, Marszałek konfederacji naszej generalny, panowie Puławscy pan Podczaszy Litewski!

— Niech żyją! odpowiedziała szlachta aż ziemia zadudniała — i wypiła duszkiem.

— Niech żyją Marszałkowie nasi!

— Niech żyją!

— Niech żyje Zaręba i rzeźnik Morawski co Rönowi takie sztuczki płata!

— Niech żyją!

— Niech żyją bracia mieszczanie, co znami trzymają!

— Niech żyją!

— Niech żyją konfederaci!

— Niech żyją!

— Kochajmy się!

— Kochajmy się! i całując się nawzajem uderzyli szklankami jedna o drugą, wypili do dna, a ostatnią kroplę z paznokcia wielkiego — na znak szczerego zpełnienia.

Wtem się odezwał głos starego sługi domowego: Jaśnie

wielmożna jejmość pani Rudnicka prosi Jaśnie Wielmożnych Panów na śniadanie.

— Na śniadanie—na śniadanie odezwały się głosy a Pan Rudnicki z winnym ceremoniałem prosił uprzejmie P P. braci łaskawych przekąsić co Bóg dał. Urażony Starosta nieprzyjął zaprosin i odjechał odgrażając się krwawą zemstą obelgi. Po śniadaniu jedni się na jarmark rozeszli, drudzy cichaczem do domów kwapili a pan Rudnicki zawoławszy pana Dobraczyńskiego Jędrzeja i obu Rzeszowian, napisał im na prędce listy i napomniawszy do pospiechu wyprawił błogosławiąc na drogę i żegnając krzyżem świętym.

VI.

Książe Jérzy Marcin.

Pan Jędrzej Dobraczyński chętnie przyjął zaprosiny i przywiązawszy bułanka swego z tyłu do bryczki przysiadł się do Bartłomieja a Marciś powoził. W drodze jak w drodze pogadanka idzie jak z kłębka jeżeli ludzie dobrani. —

Bartłomiejowi zaś ten cały zjazd konfederacki tak zawrócił głowę, żeby nawet nie mógł o czem innym mówić prócz konfederacji. — Zagadawszy więc o Krakowie słuchał z uwagą opowiadania o konfederacji krakowskiej z roku zeszłego t. j. 1768.

Wątek tego ciekawego opowiadania przerwał niespodziany wypadek: od niedalekiego bowiem miasta Krosna pędził co koń mógł wyskoczyć jeździec młody z dobytą szablą, a za nim zniżonemi lancami dwóch Ułanów królewskich widocznie w pogoni.

Uciekający pędził wprost na naszych podróżnych a przypadłszy bliżej ledwie co zdołał wymówić: Panowie bracia ratujcie konfederata!

W mgnieniu oka skoczył pan Jędrzej z bryczki, odpiął konia, dosiadł, wziął szablę na temblak i odwiódł ukryte u pasa 2 pistolety.

Bartłomiej zaś napomniawszy Marcisia aby konie dobrze trzymał, skoczył, złamał wierzbę młodą przy drodze stojącą i stanął obok; a Marciś jedną ręką konie trzymając sięgnął drugą pod kozioł, wyciągnął siekierkę podróżną i błyszczącemi oczy oglądał się w bok na Ułanów.

Ułani widząc odpór stanęli i zaczeli wołać: To szpieg z listami, prosimy go przytrzymać.

Młodzian żywym rumieńcem zapłonął i rzekł do p. Jędrzeja: Wiozę list do księcia Marcina a Ułani komendy Dzierzanowskiego chcą mnie złapać. Wydobył list i oddał Jędrzejowi patrząc z obawą czyli się nie zawiódł w zaufaniu.

My także jedziemy do księcia Marcina, odrzekł p. Jędrzej a młodzian odetchnął i rzekł: A no to chwała Bogu! Prosimy bliżej, zawołał pan Jędrzej na Ułanów prosimy bliżej, ale Ułani widząc że tu niema co wiele gadać pomówili coś z sobą po cichu, zawrócili konie i grożąc po za siebie pięściami i przekleństwem odjechali w bok ku Zingrodowi. Nasi zaś podróżni jechali dalej do Dębowca ubocznemi drogami. Wpół drogi popasali w karczmie za targowiskami. Tam się dowiedzieli, że młody jeździec był konfederatem z obozu księcia Marcina i że jeździł do Pilzna do Marszałka Paryssa, z listem zapraszającym do złączenia się, i że wiózł odpowiedź jako pan Paryss z Sandomierzaninami natychmiast ku Dębowcu wyruszy. W krótce zdybali porozstawiane przednie straże księcia Marcina i ich do obozu zaprowadziły.

Książe był ważnemi sprawami zajęty. —

W pięknym namiocie tureckim, nad którym drugi z drelichu w siwe pasy dla ciepła był rozpięty, słuchał książe rapportu Rottmistrza swego, pana Bojaneckiego, którego z listami do Generalicji na Wołoszczyznie ciągle bawiącej naumyślnie posełał, i który właśnie z odpowiedzią od księdza Biskupa Krasińskiego, generalnego Marszałka konfed. barskiej powrócił. Zaklinał Marszałek Księcia na rany boskie, aby nie ustawał w usługach ojczyznie, ale dotrwał do końca. Nie mniej zagrzewał pan Podczaszy Litewski do zbierania ludzi i trzymania się w gotowości. Wysłuchawszy pana Bojaneckiego podziękował mu książe bardzo łaskawie i wydzielił komendę jako rottmistrzowi. Potem poseł do pana Paryssa oddał list swój, którego treść księcia mocno uradowała i wskutek której chciał wysłać komendę przeciwko niemu. Pan Bojanecki ofiarował dobrowolnie usługi swoje do tego, co książe, ścisnąwszy go za rękę i grzeczny komplement powiedziawszy chętnie przyjął.

Dalej opowiedział poseł swoje zdarzenie z Ułanami Dzierzanowskiego, czem mocno zdziwiona jego książęca Mość wyrzekł: To dziwna rzecz! już to po drugi raz słyszę coś podobnego. Bierzyński i Dzierzanowski gospodarują w Województwie moim jak u siebie. Bierzyński jeszcze jak Bierzyński, bo to zwyczajnie prostak ani z pierza ani z mięsa ani z imienia, ani z rozumu, gdzieś na bocwinie w Litewskich borach wykarmiony, chudy podstoli nowogrodzki, kilku poddanych się dochrapał w sieradzkim; a teraz o hetmańskiej buławie marzy. Jemu się niedziwię, ale Pan Michał Grzymała Dzierzanowski przecie mąż dobrze urodzony, pięknie zkolligacony; mąż co tyle podróżował, co bywał po dworach królewskich i który w mowach a nawet i w dyplomacji jest biegłym, słowem mąż kawalerski, że się tak dalece zapomina i nie zważa ani na ród ani na dygnitarstwa, to mnie bardzo zdziwia. Nieprawdaż Panie Bojanecki?

— Prawda, Mości książe Marszałku, on ubliża podwojnie jego książęcej Mości; ubliża księciu i ubliża Marszałkowi legalnemu, który swój majątek cały i zdrowie książęce nam tak drogie na ołtarzu ojczyzny składa.

— No ja otem niemyślę, jednakowo mi to przykro, że Pan Dzierzanowski, którego ja od tak dawna znam, tak się zapomina.

— A zapomina się, i bardzo zapomina, odrzekł pan Bojanecki.

— Ja się tylko obawiam, żeby tam Rucki jakiego przypadku niemiał, bo jam go (zalecając rozumi się samo przez się uczciwe obchodzenie z obywatelami) wyprawił wybierać pobory w Województwie krakowskim i sendomierskim.

Ja się sam obawiam, Mości Książe Marszałku, odpowiedział Bojanecki z przekąsem, bo on to zlecenie może za nadto gorliwie wypełnić zechce.

— Nie wątpię o jego gorliwości, jednakowo znam jego przychylność do domu naszego i spodziewam się po jego rozumie, że on się dobrze wywiąże z zadania swego. Ale ja nudzę Pana mego, a Pan potrzebujesz odpoczynku.

— Proszę J O księcia wcale. . . . . .

— Ale proszę niech Pan pamięta o sobie.

— JO. książe zbyt łaskaw jesteś na mnie, całuję stopki Jaśnie Osw. księcia, rzekł Bojanecki i ucałowawszy księcia w kolano odszedł. Za nim wyszedł i ów posłaniec, któremu książe kazał naszych podróżnych przywołać.

Pan Jędrzej Dobraczyński pokręciwszy wąsa, stanął przed księciem wyprostowany, salutował po wojskowemu, wyjął w zanadrzu przygotowane pismo i doręczył, oświadczając pozdrowienie powinne od zgromadzonej sanockiej szlachty; a obaj mieszczanie pocałowali księcia w kolano.

Książe przeczytał z uwagą i uśmiechem zadowolnienia i ścisnąwszy pana Jędrzeja uprzejmie za rękę, rzekł: miło mi powitać towarzysza broni; p. Jędrzej się skłonił a książe podając rękę mieszczanom którzy ją z uszanowaniem pocałowali: i was moi kochani witam jako towarzyszów, co razem znami walczyć chcecie za ojczyznę naszą, i tem mi milej widzieć was tu, iż jesteście z dóbr pokrewnych moich z Rzeszowa.

Ja właśnie chciałem wejść w stosunki z panem Tynieckim, generalnym rządcą dobr księżnej Chorążyny, i jeżeli weźmiecie obowiązek posłow na siebie, chętnie wam list do niego powierzę. U pana Rudnickiego was uniewinnię a panu Dobraczyńskiemu przydam kilku towarzyszy z mej diwizji, aby go (dodał z uśmiechem) Ułani pana Bierzyńskiego albo Dzierzanowskiego nie napastowali.

— Nie boję ja się ich, Mości Marszałku, odrzekł śmiało pan Jędrzej.

— Nie wątpię, nie wątpię, ja tylko żartowałem, odrzekł z uprzejmym uśmiechem książe i zawoławszy hajduka, kazał podróżnych naszych odprowadzić na kwaterę i pamiętać o nich i o koniach. I niezapomniano o nich. Bracia konfederaci, mianowicie z okolic Kolbuszowy, poznali wnet mieszczan Rzeszowskich i daleko od tego aby im dali zginąć od głodu i pragnienia, całą prawie noc spędzono przy kuflu a różną gadkę sobie gadano: o Puławskich, o księdzu Marku, o Zarembie a szczególnie o Morawskim, który jako rzeźnik, naszych rzeźników niesłychanie zajmował.

Nazajutrz zawołał ich książe i dawszy napomnienie, aby sobie nie dali pisma wziąść, oddał im listy do pana Tynieckiego, księżnej Chorążyny i księdza Gwardjana O. O. Reformatów, oraz Uniwersał swój i Województwa Sendomierskiego, aby go na drzwiach u fary przybili. Napomniał także, ażeby nakłaniali drugich do łączenia się i w razie jeżeli się dobrze sprawią zrobił nadzieję wstawienia się do rzeczy pospolitej o udzielenie im nobilitacji i zapewnił łaskę swą książęcą; a w końcu pożegnał i za kilka dni w Jaćmierzu stanąć kazał, aby z tamtąd wprost pod Muszynkę na 12. kwietnia z odpowiedzią p. Tynieckiego zdążyli.

Marząc o Polsce ojczyźnie kochanej której głos pierwszy raz w życiu w sercu swoim uczuł, wracał Bartłomiej do swego Rzeszowa i rozmyślał, jak by rozpocząć posłannictwo swoje.

Z wszystkich uczciwych obywateli miasta Rzeszowa najwięcej szanował, kochał i poważał księdza Gwardjana O. O. Reformatów, tego samego, który się przyszedł ująć za Miszczańskim, gdy tenże tak niewinnie i dotkliwie zesromoconym został. — U niego się spowiadał, jego kazania zdawały mu się najlepszemi, a każde słowo z ust jego mądrością i dobrocią. Zaleciwszy zatem Marcisiowi aby się do czasu po mieście nie kręcił, wziął listy i Uniwersały i poszedł do niego.

Z rozpromienioną twarzą słuchał pobożny zakonnik opowiadania o księdzu Marku Karmelicie, jak z krzyżem w ręku naprzód szedł do boju i nieprzyjaciół gromił, a swoich zagrzewał, i o Puławskich, i o Zarębie i co tylko utkwiło w rzeźnika pamięci, wszytko wydobył i cieszył się wszystkiem jak matka pierwszém niemowlęcia słowem.

Uniwersały przeczytał z uwagą, a przeczytawszy wzniosł ręce do Boga i prosił go o pomoc i łaskę cnotliwemu dziełu, i błogosławił ludziom co go rozpoczęli. Bo dawno on bolał nad upadkiem Polski widocznym, którego przyczyną było zepsucie moralne najmożniejszych. Podniosło się serce jego kiedy usłyszał, że w Polsce przecie nie zupełnie jeszcze wygasła cnota i męstwo, i że się przecie jeszcze ocknęła garstka mężnych, poświęcających życie i mienie za matkę ojczyznę.

Ścisnął Bartłomieja serdecznie za rękę i dodał otuchy aby wytrwał w przeciwieństwach. List wziął i obiecał księżnej sam doręczyć wraz z Uniwersałem — i polecił umysły mieszczan przygotować.

Nazajutrz zrana zaraz widać było w mieście ruch jakiś nadzwyczajny. Mieszczanie stawali gromadkami, i radzili co to z tego będzie. A na wielkich drzwiach farnego kościoła błyszczał z daleka Uniwersał Województwa Sandomirskiego, do którego z dawien dawna miasto Rzeszów de facto należało, i Kasztelanowie Sendomirscy od najdawniejszych czasów wszelkie sprawy rządowe załatwiali.

Hurma ludzi ciekawych stała przed farą i słuchała głośne onego czytanie, i różne wrażenia można było zauważać.

Starzy mieszczanie przypominali sobie dawne czasy wojny i elekcje królow. Kobiety się bały wojny i Drewicza którego okrucieństwa słynęły. Opowiadały sobie, jak on złapanym konfederatom ręce i nogi ucinać kazał, albo złupiwszy skórę z głowy, czerwone konfederatki lub zdzierając ją z ramion od łokcia wyloty kontusza naśladował. A morderstw, a rabunków, gwałtu kobiet i panien bez miary i liku. Młodzież zaś, jak młodzież polska zwyczajnie. Bitną krew w żyłach jej łatwo poruszyć, odgłos wojny straszny słabej płci i za spokojem tęskniącej starości, zawsze i wszędzie pierś jej wzdymał odwagą i ochotą bójki. Jaki taki z młodszych mieszczan garnął się do Bartłomieja i Marcisia, których podróż i przypadki piorunem się po miescie rozniosły, i słuchał z pukającém sercem opowiadania o zjezdzie w Jaćmierzu i obozie pob Dębowcem; a zagrzany ognistą mową, szedł spieszno do domu i niemogąc sobie miejsca znaleść chodził od kąta do kąta jak błędny, aż sobie wypatrzył szablę starą zardzewiałą, lub strzelbę bez kurka i stępla, albo przynajmniej kostur tęgi, nóż długi lub siekierę. Z młodemi przyszło i starych kilku, mianowicie takich, co to drzewiej proch wąchali, a między niemi stary woźny urzędu ławniczego i wojtowskiego czyli po teraźniejszemu: magistratu sławetnego miasta Rzeszowa.

Był to chłop niewielki, z ogromnym siwym wąsem i pokarbowaną od pałaszy łysiną, pochylony trochę od starości, zwykle wiele mowny, czasem zaś, kiedy się zaciął, milczek ponury, że zpod strzechy wąsów jego i tydzień słowa niewywabił. Z resztą człowiek najuczciwszy, trzeźwy i w biedzie swojej rządny, wdowiec bezdzietny a werydyk nad werydyki.

Jemu wszystko jedno kto go zagadał, każdemu się za równo grzecznie ale nikomu pokornie, zawsze hardo pokłonił; ale kiedy go kto za język pociągnął, to mu wyciął prawdę w żywe oczy przed Bogiem i ludzmi, że mu aż w pięty poszło.

Na imie mu było Jakób i każde dziecko znało go pod nazwą: starego Jakuba.

Ludzie go bardzo szanowali i wierzyli w stare słowa jego jak w wyrocznią, a nawet sama księżna Chorażyna lubiła go jako starego sługę męża swojego, s. p. księcia Jerzego Ignacego Chorążego, Wielkiego koronnego generała jazdy wojsk saskich, który jeszcze w dziewosłęby do niej, niegdyś panny baronianki de Stain, do Saksonji nigdy inaczej tylko z swoim starym Jakóbem przyjeżdżał.

Pobierał on „łaskawy chleb" od księżnej ale w Zamku niechciał mieszkać mawiając że mu już obmierzły książęce pokoje. Wyprosił sobie tylko urząd woźnego i pełnił sumiennie obowiązki swoje w sądzie i jako brat pobożnego towarzystwa „Tezcyarzy" obowiązki ich w kościele O. O. Bernadynow przy Cudownym Matki Boskiej obrazie.

Byli jednak ludzie których on bardzo poważał, lubił, a którzy nim jak dziekiem powodowali, szczególnie ksiądz Gwardjan O. O. Reformatów a po nim ksiądz Patrycjusz Szlezyngier, Lektor Filozofji w zakonie x. x. Pijarów.

Do księdza Gwardyana zawsze wstępywał na tabaczkę i pogadankę, ile razy na zamek lub do kościoła O. O. Reformatów szedł, zawsze po łacinie uprzejmie przywitany, po łacinie odpowiadał i zawsze tabaczką i gdańską wódką uraczony, długo o dawnych dziejach rozprawiał.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ksiądz Gwardyan rodem z ziemi spiskiej, przed kilka kilka lat bo jeszcze na początku 18go stulecia z szkół węgierskich do chorągwi księcia Jerzego Lubomirskiego, starosty sądeckiego przystał i obok starego Jakóba woźnego, jeszcze r. p. 1706 za króla Stanisława Leszczyńskiego pod Kaliszem wojował. Tam ciężko ranny ofiarował się, jeżeli wyzdrowieje, wstąpić do zakonu i Boga chwalić całe życie, co i dotrzymał. Jakób zaś tymczasem sługiwał wojskowo potem u książąt Lubomirskich, aż się po kilkadziesiąt latach niespodzianie z swoim dawnym towarzyszem a dziś Gwardyanem O. O. Reformatów w Rzeszowie zeszedł. Nie dziw więc, że się obaj starce, bracia trudów wojennych i ubóstwa światowego nawidzili, i kiedy ich rowiennicy odumarli, po całych godzinach o swoim ulubionym królu Leszczyńskim gwarzyli. Jedna nauka pozostała im z długiego życia: że jak pies, co dobrze szczeka, domu pilnuje i dobrze poluje, lepszy od psa co tancuje i swistać się uczy; tak Polak co dobrze bije, miernie pije i klnie i gada po polsku lepszy od wszystkich co ich Niemcy ostrzygli, ogolili, albo Moskale po swojemu na dieńgach i dieworszkach zaprawili.

Księdza Patrycjusza zaś poważał tylko na słowo księdza Gwardyana, któren go jako gorliwego katolika i bardzo uczonego kapłana nieraz wychwalał. Słuchał Jakób tych pochwał i wierzył w nie co do gorliwości religijnej, ale co do rozumu zawsze miał jakieś ale. Ogółem bowiem wątpił w niemiecki rozum i mawiał czasami, kiedy go x. Gwardjan już bardzo przycisnął swemi pochwałami: Przewielebny księże Gwardyanie, juźcić ja nie wątpię, że ksiądz Szlezyngier mądry, ale ja tylko wątpię czy kiedy jaki Niemiec może być mądrym, kiedy oni wąsy golą a warkocze noszą, jak u nas dziewki a mnie zawsze uczył mój dziadek nieboszczyk (panie daj mu niebo): długie włosy, krótki rozum. A choćby tu i sto lat w Polsce siedział, to się po polsku niewyuczy; to rozum? a czemu ja się po niemiecku szwargotać poduczył za te kilka razy, com z nieboszczykiem księciem Chorążym do Dryzna jeździł?

Takim to był stary Jakób, Woźny prześwietnego urzędów i aktów wojtowskich i ławniczych, i takim ksiądz Gwardyan O. O. Reformatów w Rzeszowie którego stary Jakób często odwiedzał.

Właśnie przy sobocie odnosząc akta do jurysdykcji zamkowej zobaczył tłum ludu przed farą, a na słowo Uniwersał

konfederacki, zadrzała krew konfederata Leszczyńskiego króla.

Donośnym głosem przeczytał Uniwersał zagapionej gromadzie i podkręciwszy wąsa szedł prosto do księdza Gwardyana Reformatów, niuchając często tabakę z ciemiężycą z rożka za pasem. Ksiądz Gwardyan jak gdyby czekał na niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencja literacka.

Słowackiego Mazeppa.

(Dalszy ciąg.)

Gdy król poszedłszy po obiedzie z Wojewodziną poloneza puszcza ją i wzywa panie do nowego wyboru, Amelja (Wojewodzina) niewybrawszy nikogo zostaje sama, Mazeppa zaś, który szedł wprzód z Kasztelanową zostaje także sam. Prosi Wojewodzinę *„w tany”* ona odmawia a on się odzywa do niej słowy w których barwność wyobraźni i nowość obrazów może niejednego uderzy, niejednemu się wyda cudza, nie tegoczesna, a gwałtowność uczuć przesadna, jednakże poezijnej piękności nikt odmówić niemoże:

— — — *Głosek twój śklanny*
Wyuczył się harmonji od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków
Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnemi
I tak zawsze tak prosto zlatywać ku ziemi.

Amelja (Wojewodzina) przyjmuje oświadczenie jego jako żarty, on grozi, że sobie w łeb strzeli, że aby to snadniej uczynić umyślnie się upije, nareszcie prosi ją:

— — *O! niebieska, bądź świętą osobą,*
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą;
Ja mam wiele na sercu ciężącej spowiedzi.
Pod oknem twoim pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną:
Czyliż mi dziś słowika zastąpić niewolno?
Czy to gniew twój obudzi?

Amelja żadnej mu nie robi nadziei, on jednak upatruje w jej drżącej postaci wiele dla siebie nadziei. Ta scena tak zręcznie jest przewiedziona, że mamy pewność o miłości Mazeppy dla Wojewodziny, tej miłości zalotnej, nie zupełnie idealnej, ale przecież ani cieniem zmysłowości niesplamionej; nie mamy jednak pewności, czy Wojewodzina zupełnie odepchnęła Mazeppę, bo ona mu nie robi wprawdzie nadziei, ale nieokazuje ani dumy ani wstrętu, gdy przeciwnie królowi później z największą dumą na jego oświadczenie odpowiada *„że jego czoło w koronie jest zimne i bezwstydne.”*

Mazeppa więc mając jeszcze nadzieję, wybiera się do ogrodu pod okno Wojewodziny, co mu jednak król psuje, bo wziąwszy płaszcz i kapelusz Mazeppy sam się w to miejsce udaje, i zamiast Mazeppy on odnosi ranę od Zbigniewa, któremu miłość starannie tajona ale gwałtowna i zazdrość nie dają spać.

Jak sceny Mazeppy z Wojewodziną i monolog Zbigniewa są wzorem romantyczności, tak sceny króla z paziem są wzorem komiki. Akt pierwszy w którym poznajemy miłość zmysłową króla, zalotną Mazeppy a szczerą Zbigniewa, gościnność szlachty ówczesnej, kończy się tém iż, Mazeppa aby uchronić króla od hańby, rani się sam w rękę i bierze całą winę króla na siebie.

W drugim akcie Wojewoda oskarża pazia Mazeppę przed królem o przygodę w ogrodzie, własną króla sprawkę i pałający zemstą i zazdrością; Wojewodzina zaś przychodz, do króla ze skargą na bezczelność Mazeppy z którą tenże ją zrana idącą do kościoła samotnie

Zatrzymał tak, że usta uczuła na twarzy.

Król się wymawia, że w jego kodexie

— *takiej niema zbrodni, ani kary na nią.*

Więc Amelia prosi aby Król powiedział Mazeppie, że

— *podłe mu serce wpiersiach uderza*
Ani serce Polaka ani serce rycerza;
Powiedz mu, że my biedne kobiety się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam — i zapomnę o nim.
— — — — — — — — — —
Powiedz i wypędź — niech go niewidzę przed sobą.

Król daje słowo, które już był dał Wojewodzienie, że pazia wypędzi, a dawszy to ciągnie dalej

Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą;

pyta o jej imie,„ które mu słowik w nocy ciągle śpiewał pod oknami lituje się nad jej samotnością, którą porównywa z samotnością swego więzienia we Francji, od tego przechodzi do Klaudji którą tam pokochał, a ząd do tego, iż go

— — — *gryzą kolce korony cierniowe*

iż chciałby

Rzucić wszystko, z tą jedną, co nigdy nie rzuci.

Amelja zrazu pyta, czy może odejść, a nareszcie gdy król mówi

O! dumna raz niechętne dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz .....

czoło wkoronie — odpowiada:

— *bezwstydne*

i odchodzi. —

Wtym więc akcie miłość króla do Wojewodziny przyszła do rozwiązania; objawia się prócz tego podwójna chęć zemsty Wojewody i Zbigniewa a potrójna zazdrość bo oprócz tych dwóch także króla przeciw Mazeppie. Wojewoda nastaje na wydalenie Mazeppy; król go wyséła z listami a Zdzisław chce się znim rozprawiać żelazem. Ależ jakże rozmaicie malują się te trzy charaktery. Zbigniew mówi sam z sobą —

Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potem zabić się samemu.

Tu się zarazem objawia miłość jego w całej sile namiętności w jednym z najpiękniejszych monologów:

Cóż jest wtej cichej śmierci okropnego? czemu
Lękamy się tej ziemi co nam czoło plami
I snu z założonemi na piersiach rękami . . . .
Śmierć — innej niema drogi przedemną — O Boże
Gdyby mi kto powiedział wczora, że być może
Jaki człowiek na ziemi, z sercem ludzkièm w łonie,
Smielszy niż róża listkiem kryjąca jej skronie,
Bliższy jej ust, niż swojski jej kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty,
Muszki wieczorne którym zazdroszczę co dnia . . . .
Ach — nie wiem . . . wczoraj mi się zdawało to zbrodnia
Dotknąć jej twarzy . . . dzisiaj możebym szalony . . .
Tak więc ten co się pali sam — żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi
Która człowieka wali losowi pod nogi
Zimnym — zwalanym trupem . . .

Więc najczystsza idealna miłość nim włada i mścić się chce szlachetnie otwartym bojem — tylko za znieważanie tej którą kocha. Inaczej Wojewoda, on kocha „*Melkę*" jak niewolnicę a mści się nikczemnie:

— — *Synu*
Waszeć mi chcesz się rąbać? wstyd—to człowiek z gminu;
Takiego Wojewoda pod kijem zatłucze.
Posłałem Chmarę . . . ja go respektu nauczę . . . .
Melka niewinna ze krew pod oknem — niewinna
— — — — — — — — — —
— — — — — *Panu Bogu chwała*
Że mi nadarzył świętą kobietę za żonę
— — — — — — — — —
Posłałem ludzi — będą przy wielkiej topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana.

Uknuwszy taką zasadzkę tymczasem na pożegnanie daje Mazeppie w darze szablę turkusową i konia:

— *co kiedyś po lesie*
I po łąkach a na tron pazika zaniesie.

Lecz nim Mazeppa wyjechał, Zbigniew go zdybuje i wyzywa, Mazeppa niechce się bić i wśród sprzeczki wyjaśnia się, iż w owej nocnej przygodzie Zbigniew nie Mazeppę ranił, ale niewyjawia że to król był; scena ta za długa by ją wypisać całą, jest sama za siebie dramatem a oraz pełna myśli i wzniosłości. Mazeppa mówi iż:

— *ujrzał w chmurach ciemnych losu*
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze!
Mówią: niestety! dodać zmuszeni na zawsze!

anielskie poświęcenie łącząc z szatańską ironją niechce zdradzić dla kogo:

— *poświęcił by siebie . . .*

a dochodzi, że Zbigniew kocha Amelię przez to, iż mu powiada: *Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.* Zbigniew niewierzy i na nowo do szabli wzywa, Mazeppa wołając „*Ha! kochasz ją*" staje, obala Zbigniewa, który objawia swoją rozpacz na nowo:

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości —

Mazeppa teraz jako zwycięzca szlachetny podnosi obałonego i „*prosi teraz drugi raz o braterstwo i przyjaźń,*" oświadcza, że umyślnie go drażnił aby się o jego szlachetności przekonać, a przekonawszy się pokochał go i wtedy w mistrzowsko ułożonej przemowie do Zbigniewa radzi mu żeby uciekał bo:

Aniś ty jeszcze wniczem skalał się — przewinił
W jej szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo . . .

Zbigniew nakłania się by jechać z Mazeppą, a zawdzięczając przestrzega, by nie jechał koło karczmy, tylko inną drogą. Mazeppa pyta przyczyny ale Zbigniew mówi tylko: *Niepytaj bo mi wstyd wyjawić.* —

(Dokończenie nastąpi.)

O naszych zakładach publicznych mianowicie o instytucie
Imienia Ossolińskich.

Obecnie liczymy trzy zakłady narodowe w naszym kraju: zakład Towarzystwa kredytowego, Agronomiczny i Bibljotekę imienia Ossolińskich. Są to zakłady najgłówniejsze, przy których pomocy kredyt krajowy, rolnictwo i oświata wznieść się mogą i utrwalić powinny.

Towarzystwo kredytowe, nie tylko że łatwą pomoc przynosi, dostarczając rękojmji w względzie materjalnym, ale oparte na gwarancji wszystkich większych własności ziemskich, czyni tem samem niezachwiany kredyt krajowy. — Jeśliby dało się zlać massę drobnych emancypowanych własności ziemskich w jednę całość, hipoteka o drugą połowę zostałaby powiększoną, tem samem wzmógłby się kredyt, a z nim kraj mocniej rozkwitnąłby. W ostatnich czasach wystrzeliła, jakby z korzenia zakładu, kassa oszczędności, która zasilając się miejscowemi funduszami, w pomoc pospiesza nie tylko właścicielom miejskim, ale nadto właścicielom ziemskim, nawet po Towarzystwie kredytowém. Życzyćby wypadało, aby z czasem filjalnych banków w naszym kraju przybyło, albowiem nie tyle znaczniejszych, jak drobnych obrotowych kapitałów, uczuć się daje potrzeba. Zakład agronomiczny wspierany acz małą liczbą sprężystych współpracowników, luboć praktycznej stronie rolnictwa krajowego małe dotąd przysługi przyniósł, wszelako w teorji olbrzymie postępy poczynił, które widocznemi są w ożywieniu literatury agronomicznej, którą dawniej zaledwie w jednèm czasopismie kraj nasz posiadał. Dziś rozprawy gospodarskie, rozmaite dzieła agronomiczne, nakładem Towarzystwa wychodzą. Znaczna subskrybcja została uczyniona w celu zakupienia ziemi dla założenia szkoły agro-

nomicznej. Obok tej leży w zarysie plan dla wzniesienia szkoły leśnictwa, tego drugiego niezbędnego warunku wzrostu ziemi naszej. —

Pewna dążność zastępowania słowem całego rolnictwa, leżąca w zakresie działalności towarzystwa, opieka, że tak powiem, połączona z czujnością — to są owoce instytutu agronomicznego, za które jak też za poprzedzające, winien kraj wdzięczność tym, którzy najbardziej byli czynnymi w założeniu obudwóch i ciągle nad wzrostem tychże pracują. Rozsypanie filjalnych towarzystw agronomicznych po kraju całym, mocno wsparłoby główny zakład, ułatwiłoby stosunek wzajemny, a tem samem oddziaływałoby na kraj cały. Więcej praktyczności, a skutek uwieńczy dzieło.

Jak miło było wspomnieć o wyż wymienionych dwóch zakładach, tak przeciwnie nie można doznać pociechy, owszem tylko głębokiego smutku, na wspomnienie tej omdlałości, w której zakład Imienia Ossolińskich, wiecznym snem ujęty spoczywa. A jeśli wielkiej wagi są poprzednie zakłady, ten można słusznie nazwać tym kitem, który spaja w narodzie część duchową z jego ciałem.

Nieprzebrane skarby do historji, literatury, starożytności narodowych butwieją, zamiast coby miały wyjść na jaw, podług myśli testatora, aby zasilić stronę duchową narodu, zbogacić historję, w końcu zbliżyć, przyspieszyć przyszłość. Wymijanie wytkniętego przez zakładcę toru, błąkanie się po manowcach, zajmowanie się drobiazgowością, zmarnotrawiony długi lat szereg bez najmniejszej korzyści dla ogółu, najfałszywsza administracya w względzie finansowym, tak dalece, że obecnie prawie wyzutym ze wszelkich funduszów instytut daje się widzieć, są skutkami wypływającemi z niczego innego, jak z niewyrozumiałości położenia, jak z zapoznania różnicy między prywatną majętnością a publicznem imieniem. — Publiczność zaokrąglona na domowe ogniska uważa wszystko jakoby obce, co za domowym jej obrębem leży, choć w głębi duszy przekonana, że w tej lub owej całości cząstka przynależna jej własności spoczywa. Dla tej przyczyny zaledwie pojedynczemi głosy daje oznakę jakiejś słabej ciekawości i uwagi, która jak wszystko zdrobniałe znika, nie zostawiając po sobie nic więcej prócz czczości.

Słusznie można ze względu obojętności nietylko kuratorję wraz z dyrekcją, ale i samą publiczność obwinić, wszelako z tą różnicą, jaka zachodzi pomiędzy stroną, która zaufanie w kim pokłada, a stroną która to zaufanie zdradza. — Doznane z opieszałości klęski, chyba tem wynagrodzić można narodowi w przyszłości, jeżeli się dyrekcja szczerze zajmie wykonaniem myśli testatora, którego dość uczcić nie można, za poświęcenie całego życia, ku nagromadzeniu tylu ważnych i świętych pamiątek narodowych. — Stosunki zmieniły się w zakładzie. Pan Kłodziński wystąpił, zostawiwszy domurowany pawilon po sobie. — Spodziewaliśmy się, że kuratorja obsadzi jego miejsce literatem zasłużonym, wszelako nadzieja nasza zawiedzioną została. Bynajmniej nie myślimy tu występować przeciwko osobie prowizorycznego dyrektora p. Szlachtowskiego; i owszem w ostatnich czasach dał on się nam poznać jako ruchliwy, z pewnemi dążnościami człowiek. Ale musimy bez ubliżenia panu Szlachtowskiemu, wyznać, że nie możemy pojąć jak przy katedrze literatury, która wyłącznego zajęcia, ledwie nie poświęcenia życia potrzebuje, można miejsce dyrektora zastępywać, rozumie się w godziwy sposób, nie jako próżny figurant. — Nie możemy i tego zataić, że do zabrania tak ważnego stanowiska, nie mniemaliśmy, ażeby dostarczające zdolności posiadał pan S., do czego tylko mozolna praca i długoletnie doświadczenie doprowadzić mogą. Słusznie po panu S. możemy wymagać, aby dał się poznać z innej strony niż dotąd poprzednicy jego, a sądzimy, że najłatwiej to uskuteczni, jeśli nietylko *odpowiedne instytutowi* czasopismo będzie wydawał, ale nadto dołoży wszelkiej staranności, ażeby na jaw wyszły materjały do druku przez s. p. Ossolińskiego przysposobione i niezaniedba dalszego onychże porządkowania. Bo takie a nie inne jest przeznaczenie tego zakładu, bo to właśnie obowiązkiem dyrekcji. — Lecz aby drukować, potrzeba funduszów; tych zakład nie ma i Bóg wie kiedy mieć będzie z samego siebie.

Wszelako to jeszcze nie uwalnia od obowiązków. —

Trzeba złe naprawić, aby dobrem się stało. — Trzeba zakołatać do publiczności całej, bez przypisywania jej skali podług której ma lub nie ma pospieszać w pomoc, a na publiczność można liczyć, skoro otrzyma rękojmię w charakterze, dobrych chęciach i zdolności tego, który słowem wezwie ją, aby pospieszyła z środkami ku materjalnemu wsparciu zakładu. — W obecném wyjątkowém położeniu o stowarzyszeniu wzajemnej pomocy naukowej myśleć nie można, chociaż to jedno mogłoby w przyszłości nietylko czuwać ale i silnie podeprzeć zakład. Wszelako ażeby nietracić czasu na próżnem oczekiwaniu, powyższy środek jest jedynym w obecnej chwili, i pewnie dopisze, wyjąwszy wtedy, jeżliby strona wyrzekająca słowo zachęcające ku pospiechowi w niesieniu pomocy materjalnej, nie posiadała zaufania ogółu. — W takim razie — po takim doświaczeniu — charaktery prawe wiedzą najlepiej jak sobie postąpić mają. —

Spodziewać się należy, że po długim letargicznym spoczynku, zacznie instytut powracać do życia, jak i o tem nie wątpiemy, że zostający na straży przy skarbcu narodowych kosztowności, zechcą w to raz uwierzyć, że czas miniony nie wraca, i że zakład nie jest bynajmniej ich wyłączną własnością, lecz przeciwnie jest własnością całego narodu — Przezco są odpowiedzialnymi przed forum opinji. **J. J.** —

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **A. B. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.